



Kryminał z myszką

37

Będzie zamor- dowana

Kazimierz
Korkozowicz

Kazimierz Korkozowicz
BĘDĘ ZAMORDOWANA

Kryminał z myszką – Tom 37

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-22-5

Copyright © Tomasz Korkozowicz

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1970, seria „Z jamnikiem”

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA

CZEŚĆ DRUGA

CZEŚĆ TRZECIA

CZEŚĆ PIERWSZA

26 VIII

Już w godzinę po przyjeździe włożyłam kostium kąpielowy i uzbrojona w ciemne okulary wybrałam się na plażę.

Piaszczysta ścieżka biegła w dół, pomiędzy wydrami, na których tu i ówdzie rosły koślawe, dziwacznie powykręcane sosenki.

Morze oddychało leniwymi falami. Na jego płaskim bezmiarze, w odległej dali, lśniły skrzące pasma słonecznego blasku, a tam gdzie linia horyzontu oddzielała wodę od nieba, widać było maleńki kontur parowca. Mimo ciągnącej się za nim smugi dymu zdawał się tkwić w miejscu.

Obserwowałam go przez chwilę, po czym z uczuciem ulgi położyłam się na piasku.

Byłam zmęczona i czułam, że wkrótce zasnę. Miałam za sobą noc podróży, panował upał, a fale z jednostajnym pluskiem, wolno i opieszale rozlewały się na plaży. Ich monotonna gawęda była niby kołysanka zachęcająca do snu.

Przyjazd mój do tej zagubionej wśród wydm małej osady rybackiej, okraszonej kilku nowoczesnymi pensjonatami, nie był ani wynikiem kaprysu, ani nawet swobodnego wyboru. Po prostu rozsądek kazał mi usłuchać rady, jakiej mi udzielono. Wcale też nie twierdzę, aby decyzja ta nie była mi na rękę.

Tragedia, jaką przeżyłam, rozprzęgła mnie zupełnie. Byłam zgnębiona i wyczerpana nerwowo. Mimo to musiałam wiele rzeczy przemyśleć i wiele sobie przypomnieć. Należało odtworzyć w pamięci jak najwięcej drugorzędnych, drobnych szczegółów z okresu poprzedzającego dramat, które człowiek przeżywa jak gdyby mimochodem, nie zachowując po nich wspomnienia. Bo chyba tylko gdzieś pomiędzy nimi musiała tkwić odpowiedź, jak się to mogło stać...

Myślałam o tym wszystkim leniwie i chaotycznie, gdyż zmęczenie i upał nie sprzyjały sprawnemu działaniu umysłu. Myśli rwały się, nadchodziło coraz większe rozleniwienie i wkrótce zasnęłam.

Nigdy w życiu nie pisałam pamiętnika, ale Czarny Jegomość w czasie naszej ostatniej rozmowy wymógł, abym dzień po dniu robiła notatki. Staram się teraz dotrzymać obietnicy, aczkolwiek nie bez wewnętrznego oporu. Co innego bowiem jest szukać, grzebać w pamięci, wywoływać obrazy przeżytych zdarzeń i doznanych uczuć, a co innego ubierać to wszystko w formę słowną, gdzie mglisty rysunek trzeba nakreślić wyraźną linią konturową, aby napisane było – niby fotografia – wiernym odbiciem przeszłości.

Dużą przeszkodą w tym wysiłku jest świadomość, że piszę nie tylko dla siebie. Staram się jednak pokonywać wewnętrzny opór, aby być jak najbardziej ścisłą i szczerą.

Pierwszą znajomość na Wybrzeżu zawarłam w dość niezwykły sposób.

Ze snu na plaży obudziło mnie potrząsanie za ramię. Usiadłam raptownie, w pierwszej chwili nie zdając sobie sprawy, gdzie się znajduję. Nie wiedziałam, skąd się wzięło to rozciągnięte przede mną morze i dlaczego leżę na rozpalonym piasku.

W następnej chwili wróciła jednak pamięć i przytomniej spojrzałam w górę, na człowieka stojącego nade mną.

Miał słońce za plecami, więc początkowo rysy jego twarzy zlewały się w jedną, ciemną plamę. Dopiero po kilku sekundach rozeznałam szczegóły, i zachciało mi się śmiać.

Nie sposób było określić jego wieku. Średniego wzrostu, szczupły, ubrany był mimo upału w ciemny garnitur. Sztwywny, czarny kapelusz tkwił mu na głowie, a szyję opinał

kołnierzyk koszuli, ściągnięty krawatem. Tak się ubrać nad morzem, przy trzydziestu stopniach w cieniu!

Przyczyną mego rozbawienia było jednak co innego. Mianowicie – twarz tego człowieka.

Miał nieco zapadłe, pociągłe policzki. Nad ciężkimi powiekami dwa strome łuki brwi szły w górę. Natomiast kąty ust w gorzkim grymasie wyginały się ku dołowi. W rezultacie tego połączenia melancholijne oblicze, które ujrzałam nad sobą, pobudzało do śmiechu. Było w nim bowiem coś z cyrkowego kłowna, bezradnego wobec swoich trosk.

– Czego pan chce ode mnie?!! – rzuciłam agresywnym tonem, mimo wewnętrznego rozbawienia.

– Przepraszam, panienko.... hm... chciałem powiedzieć... młoda damo... Może jestem zbyt natarczywy... tak, oczywiście, to wielka poufałość, że pozwoliłem sobie... ale...

– Niechże pan wreszcie powie, o co panu chodzi?

Nieznajomy uniósł powieki i wówczas spostrzegłam, że ma duże ciemne oczy, o dziwnym spojrzeniu – chwilami przesadnie badawczym, to znów pustym i bez wyrazu.

Wyprostował się i wskazał palcem w niebo.

– Pani spała... Sądziłem więc, że lepiej będzie, jeśli... No, że należy...

– Mnie obudzić?... – Przyszłam mu z pomocą, aby przerwać to dukanie.

– O właśnie! Właśnie! – pokiwał głową z nieoczekiwanym ożywieniem. – Bo widzi pani, droga... hm... przepraszam, kochana młoda damo, spać na takim słońcu to bardzo niebezpieczne... Udar słoneczny, no i tak dalej...

– Zrobiłam głupstwo i muszę panu podziękować za interwencję – powiedziałam bardziej pojednawczym tonem, gdyż istotnie poczułam, że moja głowa składa się z kilkunastu kawałków, a każdy z nich boli mnie inaczej.

– Radziłbym więc wrócić do „Złotej Pani” i położyć się u siebie w pokoju. W ten sposób lepiej pani odpocznie po podróży.

– Skąd pan wie?!... – Tym razem ja z kolei nie dokończyłam zdania.

Nieznajomy uśmiechnął się, a raczej domyśliłam się, że to żalosne wygięcie ust tak należy rozumieć.

– Mieszkam tam również i dziś rano widziałem pani przybycie...

Zrodzone raptem podejrzenie zniknęło. Wy tłumaczenie było zbyt oczywiste i proste. Zresztą każdy, ale nie ten! Nawet gdyby mi wskazano go palcem, jeszcze bym nie uwierzyła, że mógłby on być...

Wróciła mi równowaga ducha.

– Chyba pana usłucham. – Zerwałam się na nogi i schyliłam po płaszcz kąpielowy. Nieznajomy uprzedził mnie. Wytrzepał go i podał z gestem nieco staroświeckiej kurtuazji.

– Wracam również do pensjonatu, więc może będę miał przyjemność towarzyszyć pani?... Oczywiście jeśli... hm...

– Nie mam nic przeciwko temu.

– A więc chodźmy! – Wyprostował się nieco zadzierzyście, niby kogut opiekun. Jednocześnie ponowne skrzywienie ust wskazywało, że się uśmiecha. Mimo to przez chwilę miałam ochotę pogłaskać go po głowie. Tymczasem nieznajomy podjął znów inicjatywę.

– Ale przedtem, jeśli pani pozwoli, hm... chciałbym przedstawić się... – wyciągnął rękę. – Nazywam się Sudra... Jestem urzędnikiem FSO, pracuję w dziale zaopatrzenia... jako starszy referent – zakończył, nie bez odcienia dumy w głosie.

Podałam mu dłoń, wymieniając tylko swoje nazwisko. Uścisk jego ręki był wiotki i słaby.

Kiedy minąwszy plażę skierowaliśmy się w stronę ścieżki wiodącej do pensjonatu, dwóch młodzieńców rozciągniętych na piasku uniosło głowy.

– Ale babka! – dobiegł mnie głos jednego z nich. – Że też poderwał ją taki lebiega!

Przy obiedzie poznałam resztę mieszkańców pensjonatu. Dużym zaskoczeniem dla mnie było spotkanie z docentem Tarskim i jego żoną. Słyszałam, że są nad morzem, ale nie przypuszczałam, że z setki możliwych miejscowości zastaną ich właśnie tutaj i do tego w tym samym pensjonacie.

W czasie wysłuchiwania powitalnych okrzyków Mady naszła mnie refleksja, czy też Czarny Jegomość nie przyczynił się do tego spotkania. Zapewne wiedział, że Tarscy są w „Złotej Pani” – i dlatego?... Przecież oni również wówczas byli u Twórczyńców.

– Przyjechałaś odpocząć po tym nieszczęściu, jakie cię spotkało? – trzepała Mada. – Bardzo ci współczuliśmy z Zenonem, moja droga... No i to całe dochodzenie! Powiedziałam im, że...

– To nie jest temat do pogawędki w tym miejscu – przerwał jej Tarski. – Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Lada chwila zacznie się zjawiać reszta towarzystwa.

– Dobrze, dobrze, ty nudziarzu! Ale, moja droga, à propos tego towarzystwa... Właściwie nie ma o czym mówić!...

Rozmawialiśmy stojąc w rogu pustej jeszcze jadalni. Mimo pory obiadu i surowości regulaminowych paragrafów nikogo jeszcze przy stole nie było. Miałam zatem okazję do wysłuchania informacji Mady.

– Same mało ciekawe typy! – westchnęła spoglądając w stronę męża, który z gazetą w ręku odszedł ku oknu. – A w ogóle to sezon już się właściwie zakończył! Mówiłam to Zenonowi jeszcze w Warszawie, ale wcześniej nie mógł się wyrwać... No i skutek taki, że nie ma właściwie do kogo otworzyć ust!

– Czyżby?... – zdziwiłam się nieco obłudnie. Jednocześnie postanowiłam dowiedzieć się czegoś bliższego o mojej pierwszej znajomości. Ciągnęłam więc dalej: – Właśnie przed chwilą poznałam jednego z mieszkańców pensjonatu. Wprawdzie ubrany nieco dziwacznie, ale zrobił na mnie dodatnie wrażenie...

– Któż to taki?

– Nazywa się, jeśli dobrze słyszałam – Sudra.

– No wiesz! – prychnęła Mada. – Ten ciapciak z albumu babci! Działa na mnie jak łaskotki – kiedy na niego patrzę, chce mi się śmiać!

Przypomniałam sobie moją pierwszą reakcję na widok pana Sudry, jednak wyrażenie zgodności poglądów było nie do pomyślenia.

– Wydał mi się bardzo sympatyczny – oświadczyłam więc zdecydowanie. – Poza tym jestem mu wdzięczna, gdyż ustrzegł mnie przed porażeniem słonecznym.

– Też mi galant! – Mada machnęła lekceważąco ręką. – Możesz go sobie wciągnąć do swego inwentarza, nie protestuję!

– No, a inni?

– Mało co lepsi. Wyliczę ci ich po kolei. A więc pan Ulmer. Nie wiem, czym się zajmuje, gdyż przyjechał dopiero wczoraj. Taki sobie grubas... jowialny, z przedziałkiem na środku głowy i małym noskiem sterczącym jak grzybek pomiędzy pełnymi policzkami. Potem jest pan Jan Łukasz, naczelnik jakiejś zagranicznej centrali. Ograniczony skrupulant, niski i kwadratowy. Wreszcie Wojski, jedyny bardziej ciekawy mężczyzna, wysoki i przystojny. Prywatna inicjatywa, ma jakąś tam wytwórnię i, zdaje się, sporo pieniędzy. No i mecenas Deresz z żoną. Chudy, ruchliwy, mówi skrzeczącym głosem i ma łysinę. Stara się ją przykryć włosami, które szesuje ze wszystkich stron głowy!

Po tej relacji byłam pewna, że bez trudu poznam każdą z opisanych osób.

– Kto reprezentuje naszą pleć?

– Poza nami są jeszcze dwie kobiety. Pani Natalia Dereszowa, zrobiona na rudo, kiedyś zresztą musiała być zupełnie niczego, i panna Maryla Żak, histeryczka, pozująca na oryginalność. Brzydula, ale trzeba przyznać, że ma doskonałą figurę.

– Zatem razem z nami dziesięć osób?

– Tak. Niezbyt dużo, ale właściwie to już po sezonie. Kto zresztą mógł przypuszczać, że po ostatnich deszczowych tygodniach nastaną takie upały?

W tej chwili weszli do jadalni pierwsi goście. Zorientowałam się, że byli to Dereszowie w towarzystwie Ulmera i Łukasza.

Popołudnie spędziłam na plaży z Tarskimi i Wojskim, którego Mada starała się wyraźnie zaliczyć do swego z kolei inwentarza. Po kolacji pozostawiłam jednak towarzystwo na dole i udałam się do siebie. Czułam się nadal zmęczona po odbytej podróży.

Piszę te słowa relacji z pierwszego dnia pobytu nad morzem i przychodzi mi właśnie na myśl, że nie zastanowiłam się jeszcze, gdzie będę chowała te notatki. Nie wolno mi dopuścić, aby dostały się w obce ręce – to ostrzeżenie wygłosił Czarny Jegomość ze specjalnym naciskiem, zresztą zbytecznym, gdyż sama to dobrze rozumiałam.

Zatem – gdzie je schować?

Nad rozwiązaniem tego problemu głowiłam się dłuższą chwilę. Pokój mój jest stosunkowo duży, o dwóch oknach wychodzących na morze. Wnętrze to typowe umeblowanie pensjonatowe. Obok drzwi znajduje się wnęka z umywalnią, lustrem i wieszakami na ręczniki – wszystko to zasłonięte kotarą. Kolorowe firanki nadają całości dość przytulne wrażenie.

Ale gdzie tu znaleźć miejsce na przechowywanie tego brulionu? Szuflady nocnego stolika i toalety mają wprawdzie kluczyki, szafa również, ale sądzę, że z równym powodzeniem można by je otworzyć zwykłą szpilką.

A więc gdzie? Zamykać w walizce? Jej zamek również nie jest zbyt skomplikowany...

Wreszcie skrytkę taką znalazłam. Sądzę, że w istniejących warunkach jest jedyną, jaką mam do dyspozycji.

Po dokładnych oględzinach pokoju przekonałam się, że lustro nad umywalnią nie jest bezpośrednio przymocowane do ściany, lecz wspiera się na czterech wystających z tynku drewnianych kołkach, w które wkręcone są przytrzymujące je śruby. W ten sposób powstała za nim szczelina. Będę mogła ją wykorzystać na schowek dla mego brulionu.

Po rozwiązaniu tej trudności pozostało jeszcze coś niecoś do zrobienia.

W szufladzie nocnego stolika umieściłam plik swoich mało znaczących notatek naukowych i przykryłam je jednym z fachowych podręczników. Na nim umieściłam okruszynę tytoniu. Potem zasunęłam ostrożnie szufladę i zamknęłam ją na klucz. Podobnie zamknęłam opróżnioną z garderoby walizkę, pozostawiając w niej parę książek. Oba kluczyki schowałam do torebki.

27 VIII

Kiedy zeszłam na śniadanie, przy stole siedziała już panna Żak i Sudra. Ona skinęła mi głową z afektowanym wdziękiem, a panu Sudrze po kilku chrząknięciach udało się wykrztusić powitalne „dzień dobry”. Zacisnęła potem usta, jak gdyby miało to być ostatnie słowo, jakim postanowił nas obdarzyć.

To przypuszczenie okazało się jednak błędne, gdyż zaledwie zajęłam miejsce, spojrzał na mnie ukradkiem raz i drugi, potem opuścił powieki i zaczął dukać po swojemu.

– Jak się... hm... pani spało, panno Skoroń? Mam nadzieję, że odpoczęła pani po podróży? Proszę wybaczyć moją... tego... ciekawość...

Sięgnęłam po bułkę i zabrałam się do smarowania jej masłem. Jednocześnie rzuciłam spojrzenie na mego rozmówcę, przy czym starałam się, aby nie było ono pozbawione wyrazu. Jednak pan starszy referent jak zwykle miał oczy przysłonięte powiekami.

Muszę szczerze wyznać, że powodowała mną przekorna chęć skokietowania tego śmiesznego jegomościa o smutnym obliczu. Gdyby połknął przynętę, miałabym trochę

zabawy, co w mojej sytuacji było nie do pogardzenia. Zresztą i z innych względów interesowała mnie jego reakcja.

– To bardzo miłe, że okazuje mi pan swoją życzliwość – odpowiedziałam ciepło.

Tym razem moje spojrzenie zostało przejęte i spowodowało, że pan Sudra opuścił głowę, z zakłopotaniem zajmując się swoim talerzem. Z wewnętrznym rozbawieniem zauważyłam, że lekki rumieniec przyciemnił mu i tak już opalone policzki.

W tej chwili do jadalni wszedł Ulmer. Idąc kłaniał się z uśmiechem na okrągłej twarzy i wykrzykiwał wesoło:

– Dzień dobry! Dzień dobry! – Zajął miejsce, po czym zwrócił się do naszej Frani, która właśnie wniosła kolejne śniadania: – O, jajeczka! Mam wilczy apetyt! – Był przejęty i nieomal wzruszony. Łakomstwo gorzało pełnym blaskiem w jego spojrzeniu. Zapewne tylko oglądzie towarzyskiej zawdzięczaliśmy, że nie mlaskał z przejęcia językiem. Od razu też zabrał się do jedzenia, co pozwoliło mi na ponowne zagadnięcie Sudry.

– Swoją drogą to morskie powietrze jest świetne! Zostawiłam otwarte okna i spałam doskonale!

– Spała pani przy otwartych oknach? – Ulmer uniósł głowę znad filiżanki. – Ja bym tego nigdy nie zrobił!

– Dlaczego? – zdziwiłam się. – Czyżby panu przeszkadzał szum fal?

– Nie, nie to! Ale ktoś może zakraść się do pani pokoju! Te pokraczne sosny rosną przecież przy samym domu. Jestem mężczyzną – spojrzał kolejno po nas, jak gdyby chcąc się upewnić, czy nikt w to nie wątpi – ale mimo to wolę nie ryzykować.

– I jako mężczyzna nie wstydzi się pan przyznawać do takiego braku odwagi?

Ulmer skrupulatnie wyskrobał łyżeczką skorupkę jajka i z pełnymi ustami rzucił porywczo:

– Cóż to ma wspólnego z męskością? Właśnie rozważa i ostrożność są bardziej męskimi cechami niż niepotrzebne ryzykanctwo! Wciąż przecież słyszymy o włamaniach, napadach i podobnych ponurych historiach...

„To chyba i nie on”... – pomyślałam sobie znowu, gdyż problem ten niby ciężka zmora wciąż mnie nurtował.

– Tak... hm... oczywiście... całkowicie zgadzam się z panem Ulmerem – odezwał się Sudra. – Nie dalej jak dwa miesiące temu... hmm... a może i trzy... uległem ulicznej napaści. Było to w okolicach naszej fabryki i na szczęście kilku robotników wyratowało mnie z opresji. Mimo to odchorowałem ten wypadek... mam słabe serce i bardzo się zdenerwowałem...

Przypomniał mi się Robert z jego nonszalancką pewnością siebie. Przesunęłam spojrzeniem po nich obu i odechciało mi się kontynuować dalej tę rozmowę.

Wyręczyła mnie panna Żak.

– Ja również dotychczas pozostawiałam okna otwarte, ale po dzisiejszej nocy mam zamiar je zamykać. A zwłaszcza drzwi.

Wyciągnęła papierośnicę i długimi, suchymi palcami o rubinowych paznokciach wybrała papierosa.

– Dlaczego, proszę pani? – zainteresował się Ulmer podając jej ogień. – Cóż takiego stało się w nocy?

– Ktoś chodził po korytarzu... – oświadczyła z intonacją „pod groźbę” panna Żak.

Ulmer machnął lekceważąco ręką.

– Takie rzeczy w pensjonatach się zdarzają...

Mówiąc to spojrzał na mnie porozumiewawczo. Idiota!

Panna Żak wydeła pogardliwie usta.

– Wiem o tym. Nie jestem panienką z prowincji. Ale to było co innego.

– Ehm... – chrząknął Sudra. – Dlaczego sądzi pani, że było to co innego?

– Zaraz wam opowiem. Dziś bardzo źle spałam. Kiedy obudziłam się w środku nocy, po raz nie wiadomo który spojrzałam na zegarek. Dochodziła druga. Otaczała mnie ciemność, dom pograżony był w ciszy. Jedyne z oddali dochodził jednostajny szum morza. W pewnej chwili zdawało mi się, że słyszę na korytarzu szelest kroków. W pierwszej chwili pomyślałam sobie, że mam okazję przyłapać spóźnionego amanta – uśmiechnęła się złośliwie, wydmuchując spomiędzy warg strużkę dymu – i wstałam z tapczanu, naciągając szlafrok. Wówczas jednak przyszło mi na myśl, że właściwie w naszym pensjonacie brak jest partnerek do nocnych pogawędek. Pani – spojrzała na mnie z koleżeńską poufałością – dopiero co przyjechała, a obie pozostałe mieszkanki znajdowały się pod mężowską kuratelą.

W wyniku tych rozważań obleciał mnie strach. W czasie kiedy zastanawiałam się nad sytuacją, kroki zbliżyły się do mego pokoju. Przysunęłam się do drzwi, na szczęście zamkniętych na klucz, przykładając do nich ucho. Po drugiej stronie panowała cisza. Dopiero po chwili znów rozległ się szelest oddalających się stąpań, który zacihał coraz bardziej.

– Na korytarzu pali się w nocy światło – rzucił z pewnym przejęciem Ulmer. – Czy pani wyjrzała? Kto to był?

– Tak, ale nieco za późno. Zanim przekręciłam klucz i uchyliłam drzwi, korytarz już był pusty. Sposzregłam tylko w głębi cień, przesuwany się po ścianie. Nocny wędrowiec znajdował się już poza zakrętem; prawdopodobnie szedł ku schodom prowadzącym na parter.

– Hm... to ciekawe... – mruknął Ulmer. – I nic więcej pani nie słyszała?

– Nie, już nic więcej. Oczywiście zamknęłam drzwi na klucz, przekręcając go dwa razy. Wkrótce udało mi się zasnąć i obudziłam się dopiero późnym rankiem.

Zaległo chwilowe milczenie.

– A co pan o tym sądzi? – zwróciłam się do Sudry. Ten uniósł powieki i jakiś czas spoglądał na mnie swoim pustym spojrzeniem, po czym skrzywił się i z żalnym wyrazem twarzy zaczął wystękiwać po swojemu:

– Ehm... trudno mi powiedzieć... po prostu, droga pani... nie mam własnego sądu w tej sprawie... Może to był ktoś z obsługi pensjonatu? Nie widzę... hm... innego wyjaśnienia.

– Po co łączyły w nocy po korytarzu?! – rzucił zaczepnie Ulmer.

– Może czegoś szukał lub coś sprawdzał?

– W nocy? – prychnęła panna Żak. – Kiedy oni nawet w dzień nie grzeszą nadmiarem gorliwości!

– Gdybyśmy wiedzieli, kto to był, łatwiej byłoby znaleźć wyjaśnienie tej tajemnicy... – powiedziała wstając od stołu.

Muszę przyznać, że usłyszane opowiadanie bynajmniej nie wpłynęło dodatnio na moje samopoczucie. Odniosłam wrażenie, jak gdyby musnął mnie pierwszy, lekki jeszcze podmuch, zwiastując nadciągającą burzę.

– Wybiera się pani na plażę? – zagadnął mnie Ulmer.

– Tak, ale nieco później! Muszę jeszcze u siebie zrobić trochę porządku z rzeczami – powiedziała, aby uprzedzić ewentualną ofertę towarzystwa. Chciałam być sama.

Znalazłam ustronny kąt na wybrzeżu, z dala od uczęszczanej plaży. W pewnym miejscu wydmy rozstępowały się tworząc kotlinę o stokach gdzieniegdzie porośniętych ostrą trawą i krzakami karłowatej sosny.

Morze rozciągało się niżej. Ogarniając spojrzeniem jego pustynny bezmiar, pełen majestatycznej potęgi, czuję zawsze jakiś trudny do wyrażenia zachwyt, mający w sobie coś z tęsknoty i coś z nabożeństwa. Jednocześnie rozległość przestrzeni rodzi we mnie pragnienie lotu, podniebnego żeglowania ponad bezkresem jego pustkowie.

Fale biegły ku brzegowi w nieustającej gonitwie. Ich spienione czuby pojawiały się i nikły w zawziętym, ciągłym pościgu. Pograżona w myślach, tylko podświadomie zdawałam sobie sprawę z jednostajnego szumu morza.

Czy istotnie przyczyną tragedii mogły być nieopatrzone słowa ojca, wypowiedziane w ten wieczór u Twórcznięw?

W ostatnich czasach mój kochany staruszek był stale podniecony bliskim i niemal pewnym już sukcesem. Być może na tle tego podniecenia ostatecznym bodźcem stał się kieliszek wina wypity przy kolacji lub wygrany przedtem rober? W jego wieku i przy stałym napięciu nerwowym, w jakim znajdował się ostatnio, nie potrzeba było zbyt wiele, by dać upust nagromadzonemu ładunkowi emocji...

Był to chyba jedyny wypadek, kiedy publicznie poruszył ten temat. Przesiadywał bowiem stale w domu, pochłonięty pracą. W ostatnim czasie rzadko go opuszczałam, gdyż pracowaliśmy razem, bez reszty zaabsorbowani rozwiązaniem problemu.

Podczas powrotu z tej wizyty zaczęłam ojcu robić wyrzuty. W odpowiedzi machnął ręką i rzucił gderliwie:

– Ależ, moja droga, to nie ma znaczenia! Jeszcze dwa tygodnie i będzie koniec! Przecież nic im nie powiedziałem oprócz ogólnej koncepcji!

– Ona również miała pozostać tajemnicą! Przypomnij sobie, cośmy ustalili...

– Ustalili! Ustalili! – Zirytował się już na dobre. – Mam to w nosie!

– Musiałeś już poprzednio popełnić jakąś niedyskrecję! Tarski okazał, że zna zagadnienie, skoro postawił tak konkretne pytanie. Czy nic mu poprzednio nie mówiłeś?

– Chyba nie... – W jego głosie wyczułam jednak wahanie. – Zresztą... może i poruszałem z nim ten temat... To mogło się stać w okresie, kiedy sam pomysł zaczął mi się dopiero krystalizować. Wówczas rodzi się potrzeba dyskusji z kimś, dla kogo dane zagadnienie nie jest obce.

Pomyślałam sobie, że dalsze prowadzenie tej rozmowy jest bezcelowe i zaczęłam mówić o czym innym...

Obróciłam się, wystawiając z kolei plecy na działanie słońca. Szum morza stał się jak gdyby wyraźniejszy i bliższy.

Kto był wtedy u Twórcznięw? Gospodarze, Tarscy, my i Robert. Razem siedem osób.

Państwo Twórcznięwie to para emerytów. On, przyjaciel ojca, były profesor, ona, niemal już zupełna staruszka, żyjąca w cieniu męża, pracowita i cicha, znana była z dobrego serca i dobrej kuchni. Oboje – ludzie nieposzlakowani i poza wszelkimi podejrzeniami.

Tarski jest docentem przy katedrze fizyki jądrowej. Mada, z zawodu aktorka, porzuciła scenę na jego żądanie. Jest zresztą moją daleką kuzynką.

No i Robert. Znalazł się tam dzięki znajomości ze mną. Jest inżynierem i pracuje w PAN. Jego znam najkrócej, na tyle jednak dobrze, by zorientować się, że ze swoim beztróskim sposobem bycia, szczerością odruchów i bezpośrednim sposobem wypowiedzania myśli – jest chyba ostatnim, którego można by podejrzewać.

Jeśli zatem nikt z nich nie wykorzystał usłyszanej informacji – a taka koncepcja od początku wydawała mi się absurdem – to pozostawała tylko ewentualność, że ktoś z obecnych powtórzył tę nieszczęsną rozmowę wobec niepowołanych uszu.

Znów przerwa w rozmyślaniach i znów szum morza, jak gdyby przybliżył się i wzmógł.

Mimo propozycji spaceru, jaką rzucił Ulmer, wolałam popołudnie spędzić u siebie. Poprosiłam o szklankę kawy „na górę” i zadowolona z samotności znalazłam się w czterech ścianach swego pokoju.

Za każdym razem, kiedy wyjmuję mój dziennik ze schowka, badam skrupulatnie, czy nie był ruszany. Dzisiaj zbadalam również zawartość szufladki stolika przy tapczanie. Okruszek tytoniu leżał na swoim miejscu.

Nie są to czynności spowodowane konkretnymi podejrzeniami. Powoduje mną po prostu chęć uspokojenia nurtującej mnie obawy. Penetrowanie moich rzeczy uważam za mało

prawdopodobne i stwierdzenie takiego faktu byłoby nie lada zaskoczeniem. Ale właśnie ta obawa, niepokój naprzykrzony i ciągły, domaga się takiego stwierdzenia.

Zawsze uważałam siebie za człowieka, któremu nerwy nie przysparzają kłopotów życiowych, a stan psychiczny nie wykazuje odchyłeń poza normy usprawiedliwione okolicznościami. Nie zmieniłam w tym względzie zdania do ostatnich dni, mimo ciężkich chwil, jakie przesłam.

Obecnie przeżywam jednak uczucia zupełnie dla mnie obce. Jest to stale nurtujący mnie strach, którego nasilenie zaczyna wzrastać, którego nie mogę opanować. Wzmaga on moją podejrzliwość, powoduje utratę bezstronnego krytycyzmu.

Nigdy nie znajdowałam się w niebezpieczeństwie utraty życia, w dodatku niebezpieczeństwie stałym, zawieszonym nad głową niby przysłowiowy miecz na włosie.

W tych warunkach najblęższy incydent, zdarzenie, na które normalnie nie zwróciłabym uwagi, powoduje panikę myśli.

Tak było i dzisiejszego ranka w czasie opowiadania Żakówny. Starłam się nie okazać po sobie, że historia ta zrobiła na mnie silne wrażenie. Albowiem mimo wszystkich dopuszczalnych i pospolitych wyjaśnień przede wszystkim ujrzałam możliwość jej związku z moją osobą.

Czego bowiem mógł chcieć ten nocny wędrowiec? Dziewczyna ma chyba rację – trudno jest usprawiedliwić jego spacer romantycznym podłożem. Próba wyjaśnienia Sudry? Tak Żakównie, jak i mnie nie trafiła ona zupełnie do przekonania.

Po podróży spałam mocno, więc nie słyszałam niczego. Być może ten człowiek przyszedł spróbować, czy drzwi mego pokoju są zamknięte na klucz?

Czyżby mój przyszły, nie znany morderca – na którego przecież właściwie czekam – miał zamiar uderzyć od razu? Już w pierwszą noc po moim przyjeździe?

Jednak musi on chyba dopiero zorientować się w możliwościach bezkarnego popełnienia czynu? Czy nie próbowałby raczej ułożyć takiego planu działania, który by sugerował nieszczęśliwy wypadek, stwarzając w ten sposób dla siebie szansę bezpieczeństwa?

Nie, to przypuszczenie jest błędne. Zbieg okoliczności tego rodzaju, jak dwa zgony ludzi związanych tą samą pracą, wyklucza przyjęcie koncepcji nieszczęśliwego wypadku. Mimo najbardziej przekonujących okoliczności władze śledcze nie dałyby wprowadzić się w błąd. Sprawca musi to zrozumieć i z konieczności wkalkulować ten aspekt w swój plan. Zatem podstawą tego planu będzie zatarcie śladów wiodących ku sprawcy, a nie poprowadzenie ich w mylnym kierunku.

Czyżby jednak sprawca przybył tu przede mną? Przecież fakt, że miałam przyjechać właśnie tu, był znany tylko Czarnemu Jegomościowi i Sali. Nawet Robert miał o tym nie wiedzieć, co, przyznaję, sprawiło mi pewną przykrość.

Mimo tych „autoperswazji” nie czułam się uspokojona. Przerwałam pisanie i podeszłam do okna, by się opanować.

Na wprost, przez powykręcane gałęzie sosen, lśniło srebrzyście morze. Z lewej strony biegła prowadząca ku niemu ścieżka, a dalej za skosem wydmy widać było górne piętro „Neptuna” i jego oszklony taras-jadalnię.

Na prawo rozciągało się jałowe pole piasków, na których rzadkimi kępami rosła licha, ostra trawa. Dalej rozpoczynały się pierwsze chaty rybackiej osady, szerniałe, niskie, przycupnięte pomiędzy piaszczystymi wzgórzami. Tu i ówdzie przegradzały je drewniane sztachety lub ich resztki, pełne dziur po wyłamanych kołkach. Przed chatami, nie opodal morza, sterczały wysokie drągi, na których suszyły się porozpinane sieci. Ich pływaki, niby ziarna różańców, ciemnymi kleksami plamiły błękitne tło nieba. Powyciągane w głąb plaży leżały bezwładne, pękate cielska łodzi. Przechylone na bok, ukazywały czarne, wysmołowane brzuchy. Chowały się pod nimi skrawki granatowych cieni.

Zza pensjonatu wybiegała wąska droga, przecinająca piaszczyste pólko, i znikła między zabudowaniami wioski. Wiedziałam, że skręcała potem między wzgórzami i łączyła się z szosą prowadzącą do miasteczka. Miasteczko to miało swoją stację kolejową, na której wysiadłam, było miejscem niezbędnych zakupów, poprzez Urząd Pocztowy dawało łączność ze światem, miało lekarza, posterunek milicji i inne instytucje niezbędne dla wygody i spokoju mieszkańców.

Właśnie z tego miasteczka dychawiczny samochód przywoził gości do pensjonatów, a co dwa dni przybywała ciężarówka zaopatrująca w prowiant te pensjonaty. Teraz stała właśnie przy narożniku domu i widziałam, jak robotnik w szarym kombinezonie wynosił z niej skrzynki z napojami. Wychyliłam się z okna i nieco bezmyślnie obserwowałam tę czynność i stojący w dole samochód.

Zza węgła ukazał się pan Radtke, nasz portier i intendent w jednej osobie. Długi nos sterczał mu z chudego oblicza, a pod nim zwisały ciemne wąsy. Zauważyłam, że rzucił wokoło spojrzenie, zanim podszedł do ciężarówki.

Na jego widok z szoferki wyskoczył kierowca. Niedbałym ruchem uniósł palce do daszki czapki, po czym rozpoczęli przyciszoną rozmowę. Nie słyszałam, o czym mówili, natomiast widziałam szybkie, lustrujące spojrzenia portiera, które rzucał dookoła, jakby chcąc się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje.

O czym mogli mówić? Czy o jakichś ciemnych interesach, „lewej” sprzedaży prowiantu, czy też transakcjach szmuglerskich, tak podobno pospolitych na Wybrzeżu? Tylko tego rodzaju treść rozmowy mogła usprawiedliwić objawy ostrożności, jakie zdradzał Radtke.

W pewnej chwili kierowca sięgnął do kieszeni i wsunął w nastawioną dłoń naszego portiera jakiś ciemny przedmiot. Nie mogłam dostrzec z góry, co to było, ale mignęło mi coś niby oksydowany metal.

Odsunęłam się od okna i odeszłam w głąb pokoju.

Co to mogło być? Czyżby – rewolwer?

Opadłam na fotel, ulegając ponownemu wzburzeniu. Czy coś mi się nie przywidziało? Być może, ów stan nerwowego lęku, o którym mówiłam dopiero przed chwilą, już wywołuje imaginacyjne obrazy? Może ten rzekomy rewolwer był po prostu tylko puszką konserw lub zagranicznego tytoniu?

Kobieto, opanuj się, bo grozi ci sanatorium!

Właśnie... kobieto... Dotychczas wydawało mi się, że jestem samodzielnym, niezależnym człowiekiem, zdolnym sprostać każdej sytuacji życiowej w oparciu o własny rozum i siły, a obecnie?

Obecnie zaś, Justyno, bądź szczerą i przyznaj się, że brakuje ci tak zwanego „męskiego ramienia”, że czujesz potrzebę opieki. Bo czyż można przywiązywać wagę do kilku zdawkowych słów, jakie między innymi rzucił na pożegnanie Czarny Jegomość: „i proszę się nie bać – będziemy nad panią czuwać...”

Och, czemuż nie ma tu Roberta...

Po kolacji całe pensjonatowe towarzystwo zebrało się w czytelnicy. Jest to duży pokój położony za jadalnią, ładnie, a nawet bogato umeblowany, wyposażony w niedużą bibliotekę, parę stolików brydżowych i pianino.

Dereszowie zasiedli do brydża z Ulmerem i Łukaszem. Proponowano mi piąte miejsce, ale podziękowałam, gdyż czułam, że nie zdołam dostatecznie skupić uwagi na problemach gry.

Żakówna siadła do pianina i, ścisząc dźwięk, brzdąkała jakiś urywek melodii, a Sudra, jak zwykle w ciemnym garniturze, ulokował się z naręczem gazet obok stojącej w rogu lampy. Zauważyłam, że kiedy siadał w fotelu, obrzucił wzrokiem całe towarzystwo, po czym zatrzymał spojrzenie na mnie. Udawałam, że nie patrzę w jego stronę, mimo to zdążyłam

zauważyć, że było to spojrzenie przenikliwe i badawcze, niepodobne zupełnie do jego zwykłego sposobu patrzenia: roztargnionego i jak gdyby zdziwionego otoczeniem.

Za chwilę opuścił głowę chowając ją za gazetą, a ja pozostałam w rozterce, zastanawiając się, co to spojrzenie mogło oznaczać.

Już na tyle zorientowałam się w jego sposobie bycia, aby wiedzieć, że reakcje tego człowieka są zupełnie swoiste. Skrzywienie ust, które normalnie rozumiałabym jako wyrazu bólu czy goryczy, należało u pana Sudry uważać za uśmiech, zdradzający sympatię lub zadowolenie. Spojrzenie pełne namysłu oznaczało, że raczej nie myśli on o niczym konkretnym, a wyraz roztargnienia dowodził, że właśnie zastanawia się nad czymś głęboko. Zatem sens tego badawczego spojrzenia mogłam sobie wytłumaczyć zupełnie dowolnie: równie dobrze, że cierpi w danej chwili na ból zęba, jak i to, że rozmarzyła go gra Żakówny.

Dlaczego wciąż powracam myślą do tego człowieka? Dziwny jest zresztą mój stosunek do niego. Obecnie wzbudza we mnie niemniejsze podejrzenia, niż każdy z otaczających mnie ludzi, chociaż muszę wyznać, że podejrzenia te są mocno stępione dwoma dodatkowymi odczuciami. Jednym jest niczym nieuzasadnione wrażenie, że jest on moim starym, dobrym znajomym, a drugie – to nieco pogardliwe lekceważenie, które towarzyszy mi zawsze, kiedy myślę o jego osobie.

Dzieje się tak zapewne dlatego, że w gruncie rzeczy jego jednego nie boję się zupełnie. Jest taki śmieszny z tą swoją bezradną nieśmiałością.

Przypominam sobie teraz, kiedy opisuję ten w gruncie rzeczy mało ciekawy wieczór (mimo incydentu, jaki miał miejsce), że właśnie wtedy, siedząc na jednym z foteli obok Wojskiego, który coś do mnie mówił – pomyślałam sobie, że właściwie nie ma żadnych podstaw, aby podejrzewać kogoś z obecnych mieszkańców pensjonatu. Przecież ci wszyscy, których tu zastałam, nie mogą być dla mnie groźni, gdyż zjawiłam się po nich. W jaki sposób mógł ktoś z nich dowiedzieć się, że przyjadę właśnie tutaj, i tu mnie oczekiwać? Podejrzanym może być tylko człowiek, który przybędzie w ślad za mną.

Ale za tą refleksją przyszła inna, natrętna, prześladowająca mnie niby z mora, od chwili kiedy zrozumiałam, dlaczego zginął mój ojciec... To obojętne, czy morderca przybędzie dopiero po mnie, czy już tu jest, gdyż bez wątplenia następne uderzenie będzie wymierzone we mnie. Inaczej tamto, podstępne i bez śladu, nie miałyby sensu... Czy zdołam się przed nim ustrzec?

– Ależ pani nie słyszy tego, co mówię! – doleciał mnie nagle głos Wojskiego.

Miał rację. Doznałam uczucia, że ocknęłam się z zamroczenia. Znowu usłyszałam muzykę, doszły mnie głosy brydżystów i uświadomiłam sobie, że mój towarzysz istotnie coś mówił.

Nachylił ku mnie ściągnął, opaloną na brązowo twarz i spojrzał mi w oczy.

– Co pani jest, panno Juto?... Czy dziecko źle się czuje? – dokończył ścisłym głosem, w którym zadrgały dość typowe akcenty.

– Proszę mi wybaczyć – próbowałam zdobyć się na przepraszający uśmiech – to pewnie wina zbyt silnych upałów. Po prostu zakręciło mi się w głowie...

– Czy już jest lepiej?... – Poczułam, że przykrywa dłonią moją rękę spoczywającą na poręczy fotela.

– Tak, już mi lepiej. – Cofnęłam rękę, ale nie odwracałam wzroku przed spojrzeniem jego ciemnych oczu, które miałam tuż przed sobą.

– Ach, te cudowne usta... – powiedział cicho. – Dlaczego nie jesteśmy teraz sami?

Uśmiechnęłam się z przekorą.

– Obawiam się, że spotkałoby pana rozczarowanie...

– Dwa pik... – to był głos Deresza, piskliwy i agresywny.

– Dwa bez atu! – zareplikował Ulmer rozradowanym tonem.

Spojrzałam na Sudrę i Żakównę. Pan referent, przepraszam, starszy referent, siedział z pochyloną głową, pogrążony w lekturze, natomiast panna Żak przestała grać. Jej nieco skośne, tatarskie oczy były skierowane na nas, a szerokie usta rozchyłał ironiczny uśmiech. Kiedy spostrzegła, że na nią patrzę, mrugnęła ku mnie łobuzersko.

– Trzy karo! – zaliczyła Nata Deresz.

Z kolei przeniosłam wzrok na nią.

W świetle ściennego kinkietu, pod którym siedziała, jej rude włosy gorzały niby złocisty promień. Trzymała złożone karty przed sobą, a jej rysy ściągnął niezrozumiały dla mnie grymas. Górne światło tworzyło na jej ładnej twarzy plamy cieni, które powodowały, że wydawała mi się drewnianą maską.

Dopiero zrozumiałam, co oznacza ten grymas, kiedy spotkałam się z jej wzrokiem. Gorzała w nim nienawiść.

– Nata, może będziesz łaskawa wychodzić! – zaskrzeczał niecierpliwie Deresz i kobieta przeniosła wzrok na trzymane w ręku karty.

– Czy długo ma pani zamiar pozostać nad morzem? – Znow posłyszałam głos Wojskiego i względnie przytomnie zdążyłam odpowiedzieć pytaniem na pytanie:

– Dlaczego to pana interesuje?

– Czy pani chce sprowokować mnie do zwierzeń?

– Skądże to zainteresowanie?

– Czy to panią dziwi? Przecież na pewno nie jestem pierwszy, który panią uświadamia, że jest pani oszałamiającą dziewczyną! Pani ma atomowy seks!

– Przede wszystkim uświadomił mnie pan, że subtelne komplementy to nie pańska specjalność.

Mój towarzysz roześmiał się.

– No cóż! Staram się iść z duchem czasu! Poza tym przypominam, że nie otrzymałem odpowiedzi na moje pytanie!

– A kierowa forta to pies?!?! Dlaczego jej nie zgrałaś?! – rozległ się raptem pełen wściekłości okrzyk mecenasa Deresza. – A to noga! Czy widział pan coś podobnego?! – Pienił się dalej.

Nata Deresz zerwała się z krzesła.

– Grajcie sobie beze mnie! – Cisnęła karty na stół.

– Ależ, pani Nato, nie warto się irytować! Prosimy do gry! – próbował uspokoić ją Ulmer.

Zatrzymała się na środku pokoju, odwracając ku niemu głowę.

– Uprzejmie dziękuję! Niech pan raczej uspokaja mego męża!

Potem ze ściągniętymi brwiami i wzrokiem pełnym gniewu przesunęła po mnie spojrzeniem i wyszła z pokoju.

Kłopotliwe milczenie przerwał Łukasz propozycją pod moim adresem:

– Może teraz da się pani namówić na jednego robra? Uratuje pani sytuację, bo jest jeszcze za wcześnie, aby iść spać.

Zgodziłam się, chcąc przerwać rozmowę z Wojskim. Mecenas z wyraźnym zadowoleniem rozłożył karty. Wojski wstał równocześnie ze mną i również zbliżył się do stolika.

– Może zagra pan na piątego? – spytał go Ulmer.

– Nie, dziękuję, idę do siebie. Wczesna pora mnie nie przeraża, bo sypiam jak anioł!

– To coś tak jak ja! – wykrzyknął Deresz. – Nie macie pojęcia, jak ja tu świetnie sypiam! Jak nigdy!

Nie zrozumiałam ironicznego uśmiechu, jaki nieznacznym, krótkim refleksem przemknął przez usta Wojskiego.

Pociągnęliśmy karty i za partnera otrzymałam Łukasza. Rober przeciągnął się i po jego zakończeniu przerwaliśmy grę. Przekonałam się, że Łukasz był bezbłędnie kalkulującym, ostrożnym i wyrachowanym graczem.

28 VIII

Kiedy po raz pierwszy była mowa o projektach naszych prac? Kiedy i z kim o tym mówiliśmy?

Te pytania wciąż przewijały się w czasie śledztwa. To, co pamiętałam, oczywiście podałam do protokołu. I teraz, kiedy znów odtwarzam w pamięci tamte dni, nie mogę sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek, poza tym jednym wypadkiem, temat naszych badań został poruszony publicznie.

I ojciec, i ja zdawaliśmy sobie sprawę z wagi prac, jakie prowadziliśmy. Prawie wszystkie doświadczenia laboratoryjne wykonywałam sama. Tylko niektóre, o drugorzędnym znaczeniu lub wymagające zespołu pomocników, robiłam z kolegami w Instytucie, ale zawsze tylko wycinkowo, co nie pozwalało na zorientowanie się w kierunku badań.

Cały materiał piśmienny, a więc notatki, obliczenia i wyniki doświadczeń, przechowywaliśmy w domu, w ogniotrwałej kasie. Tylko my dwoje mieliśmy do niej dostęp – zresztą nie stwierdziłam ani razu, aby były ruszane lub coś z nich zginęło.

Spotkałam się z zarzutem, że nie zgłosiliśmy naszych zamierzeń władzom, co pozwoliłoby na zapewnienie odpowiedniej opieki. Ale trzeba było znać ojca, aby zrozumieć, że takie zgłoszenie zamierzonych prac uważałby za pewnego rodzaju wiążące przyrzeczenie ich wykonania, co – biorąc pod uwagę jego słowność, jak i ryzyko przedsięwzięcia – rozpętałoby nad moją głową prawdziwą burzę, gdybym wystąpiła z taką propozycją.

I właśnie tuż przed zakończeniem szeregu żmudnych poszukiwań i prób, nieomal w przededniu sukcesu, cicha i podstępna śmierć zjawiała się w naszym domu.

Ojca znalazłam martwego kwadrans po ósmej rano. Zwykle o ósmej przychodził do jadalni na śniadanie. Czekałam na niego piętnaście minut, a potem zdziwiona tym pierwszym wypadkiem niepunktualności zapukałam do sypialni. Ponieważ nie otrzymałam odpowiedzi, weszłam do pokoju.

Ojciec leżał w łóżku, obrócony na bok, i w pierwszej chwili odniosłam wrażenie, że jeszcze śpi. Jednak zupełnie nieodpowiednia pora tego snu i nienaturalnie przerzucone przez krawędź łóżka ramię nasunęło mi podejrzenie, że stało się coś złego. Podbiegłam do niego i już przy pierwszym dotknięciu przekonałam się, że nie żyje.

Pełna rozpacz, z chaosem myśli w głowie, pobiegłam do telefonu. Ostrzeżono mnie, aby niczego nie ruszać na miejscu znalezienia zwłok i obiecano natychmiastowy przyjazd. Potem udałam się do kuchni, aby zawiadomić o nieszczęściu Salomeę. Dostała ataku serca, a w czasie kiedy krzątałam się przy niej, rozległ się długi i natarczywy dzwonek.

Było ich czterech. Trzej po cywilnemu i oficer w mundurze. Po przywitaniu zaprowadziłam ich do sypialni ojca.

– Czy nic tu pani nie ruszała? – zwrócił się do mnie oficer w randze kapitana.

– Nie. Zresztą od chwili telefonu do czasu przyjazdu panów byłam zajęta uspokajaniem naszej gospośi.

Jeden z przybyłych, młody mężczyzna, zbliżył się do zwłok. Sprawdził puls, uniosł powiekę, po czym pochylił się nad twarzą zmarłego.

– No i co, doktorze? – zagadnął go oficer.

– Nie żyje – stwierdził, obracając się ku nam. – Przy czym... – zawahał się chwilę – zachodzi podejrzenie otrucia cyjankiem.

– Otrucia?!... – wyjąkałam.

– Ze zgłoszenia wynika, że to pani ojciec? – rzucił pytająco oficer.

– Tak.

– Gdzie pracował?
– Był profesorem chemii na Politechnice.
– A pani?
– Ja jestem również chemiczką. Byłam asystentką ojca.
– Proszę dokładnie obejrzyć pokój i stwierdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu względnie czy czegoś nie brakuje.

Pomyślałam sobie natychmiast o naszych notatkach. Chowaliśmy je w kasie, a ta stała w gabinecie ojca. Zgodnie jednak z poleceniem uważnie obejrzałam pokój.

Łóżko stało na środku, wezłowiec dotykając ściany. Obok stolik, za nim nocna lampka, karafka i szklanka do połowy napełniona wodą, przy szklance tubka z pigułkami Cholamidu, które zmarły, cierpiąc na bóle wątroby, zawsze miał pod ręką. Poza tym książka, popielniczka z jednym niedopałkiem, papierośnica i zapalniczka.

Niedaleko łóżka znajdowała się wielka, staroświecka szafa. Po przeciwnej stronie, pomiędzy oknami, stół, na nim lampa z abażurem, parę czasopism i patera z kilku jabłkami. Obok stał obszerny fotel, a dalej, również staroświecka jak szafa – komoda na bieliznę. Na niej lustro, szczotka, grzebień, flakon z wodą kolońską.

Obróciłam się do czekających w milczeniu mężczyzn.

– Wszystko znajduje się na zwykłym miejscu i mam wrażenie, że nie brakuje niczego.
– Teraz przejdziemy do drugiego pokoju, a moi towarzysze dokonają tu niezbędnych formalności. Idzie pan z nami, doktorze? – Kapitan zwrócił się z kolei do młodego mężczyzny, który ponownie, tym razem bardziej dokładnie, badał zwłoki.

– Tak. W zasadzie zakończyłem swoje czynności. Śmierć nastąpiła około drugiej w nocy. Wydaje mi się, że sekcja będzie konieczna – spojrzał na mnie pytająco, zapewne na zasadzie doświadczenia oczekując gorącego protestu.

– Rozumiem tę konieczność – skinęłam głową. – Tym bardziej że jestem zaskoczona i wstrząśnięta przyczyną zgonu, jaką pan podał.

– To tylko podejrzenia. Zresztą jest pani chemikiem, proszę przekonać się osobiście.

Zbliżyłam się i nachyliłam nad drogim, pokrytym zmarszczkami obliczem. Istotnie, poczułam lekki, ledwo uchwytny zapach migdałów.

Korzystając, że byłam odwrócona tyłem do obecnych, złożyłam na czole zmarłego krótki pocałunek. Był to mój ostatni pożegnalny kontakt z ojcem. Zostałam teraz sama.

– Wydaje się, że ma pan rację – powiedziałam, obracając się ku lekarzowi. – Służę panu, kapitanie.

Przeszliśmy do jadalni. Oficer siadł naprzeciw mnie i rozłożył przed sobą notatnik.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI